

Prognoza „końca historii” zaprezentowana ćwierć wieku temu przez Francisa Fukuyamę nie sprawdziła się po upadku ZSRR i obozu państw z nim związanych. Po kilku latach zaczęły pojawiać się konflikty i napięcia. Później, już w XXI stuleciu zaczęto kwestionować bezkonkurencyjną pozycję Stanów Zjednoczonych jako światowego lidera. Doszło do zmiany układu sił gospodarczych w świecie, na drugą pozycję po USA wysunęły się Chiny. Ale to nie wystarcza.
Kwestionuje się coraz częściej unilateralny system międzynarodowy z USA w roli dominującej. Poza tym w kilku regionach świata dochodzi do różnych konfliktów na dużą skalę, których nikt nie chce gasić. Pojawił się więc chaos w stosunkach międzynarodowych, jakiego nie było poprzednio. O tych problemach mówi profesor Tadeusz Iwiński, poseł SLD, wiceprzewodniczący sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych i zastępca przewodniczącego polskiej delegacji do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy.

W jednej z dyskusji telewizyjnych na tematy międzynarodowe użyłeś pojęcia „chaos”. Jak można go rozumieć?
- Prezydent Obama też niedawno wspomniał o tym. Pojęcie „chaosu” jest bardzo stare. Nie chcę wchodzić w filozoficzne spekulacje. W szeregu religii – w tym w Biblii – świat wyłania się z chaosu. Obecnie po latach względnej stabilizacji mamy spory chaos w stosunkach międzynarodowych. Jest to naruszenie istniejącego porządku. W wielu regionach świata sytuacja jest wręcz niepokojąca. Nie jesteśmy pewni co się wydarzy, bo trwa wciąż kryzys ekonomiczny. USA wyszły z kryzysu zapoczątkowanego w 2008 r., ale Unia Europejska jeszcze nie, wystarczy przywołać Grecję. Mikołaj Gogol kiedyś plastycznie stwierdził, że do chaosu nie doprowadzają głupcy, lecz mędrcy lub ci, którzy za takich się uważają.

Czy chaos jest konsekwencją „wycofania się" USA z interwencji w każdym regionie świata?

- Niekoniecznie. Stany Zjednoczone tylko częściowo wycofały się z dotychczasowej roli „żandarma" światowego. USA generalnie już nie chcą się angażować w kolejne wojny, ale do niektórych operacji wydają się swoiście przymuszone. Tak naprawdę dopiero teraz wyciągnęły wnioski z klęski w Wietnamie, które sprowadzają się do formuły, że „piechota morska może zdobyć fabryki, ale nie będzie w nich pracować". Już później nałożył się na to efekt porażek źle zaprogramowanych lub przeprowadzonych akcji, czy dyskusyjnych działań politycznych w różnych krajach. Bowiem 7,5 miliardowy świat, z ponad 200 państwami, niezwykle się skomplikował.

Typowym przykładem może być Libia, kraj niedemokratyczny, który miał kiedyś dość oryginalne koncepcje teoretyczne tzw. dżamahiriyi, zapisane w „Zielonej Książeczce". Akcje zbrojne w tym kraju zainicjowali Anglicy i Francuzi, wsparli ich Amerykanie i całe NATO. Wcześniej Muammar Kaddafi trzymał wszystkich, także siły islamistyczne, „za twarz". Libia paradoksalnie zapewniała stabilność w otaczającym regionie. Po jego obaleniu w końcu 2011 r. dotychczasowe struktury się rozpadły. Doszło do powstania niebezpiecznych ruchów dżihadystowskich, również w Mali, w Afryce Centralnej., aż po północną Nigerię, gdzie rosną wpływy ekstremistycznego ugrupowania Boko Haram.

Sama Libia stała się państwem upadłym. Tam zabito ambasadora USA. Obecnie w tym sześciokrotnie większym od Polski państwie funkcjonują dwa rywalizujące ze sobą rządy i parlamenty (w Trypolisie i Bengazi), a ostatnio lotnictwo blisko 90-milionowego Egiptu bombardowało pozycje islamistów, po ścięciu głów 21 obywatelom egipskim (chrześcijańskim Koptom) pracującym w tym kraju. Rząd Włoch od dłuższego czasu uważa, iż bez międzynarodowej akcji w Libii (najlepiej w postaci misji pod auspicjami ONZ) chaos pogłębi się. Wpływa to w wielkiej mierze na destabilizację sytuacji na południu Europy, a chodzi zwłaszcza o lawinowo rosnącą liczbę nielegalnych emigrantów, co wiąże się z jednej strony z dramatami humanitarnymi (masowy przemyt Afrykanów organizują grupy przestępcze) a z drugiej, z kwestią bezpieczeństwa, gdyż wśród migrantów i uchodźców mogą być zdeklarowani islamiści, gotowi do aktów terrorystycznych na naszym kontynencie.

A jak na tym tle wygląda cały świat arabski, czy nawet szerzej, świat islamu?

- W Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie doszło przed kilku laty do tzw. wiosny arabskiej, zapoczątkowanej w Tunezji, gdzie obalono rząd Ben Alego (przez kilka lat był on zresztą ambasadorem w Warszawie). W samej Tunezji miały miejsce pozytywne zmiany, odbyły się demokratyczne wybory itd. Jakiś czas temu miałem, z ramienia Rady Europy, kontakty z władzami, w tym z królami Jordanii i Maroka, którzy także, mimo licznych wyzwań wewnętrznych, doprowadzili do pozytywnych przemian w swoich krajach. Przeprowadzono referenda, zmieniono konstytucje, znacznie wzrosła rola parlamentów. Maroko mieści się dziś w grupie państw spełniających standardy demokratyczne. Blisko przy tym współpracuje właśnie z Radą Europy. Ale na tym koniec. Niemal nic nie zmieniło się w krajach Zatoki Perskiej (Arabskiej), zwłaszcza Arabii Saudyjskiej i innych państwach regionu (Bahrajnie, Kuwejcie, Katarze). W Algierii i Egipcie rządzą siły wojskowe. W Arabii Saudyjskiej kobieta nadal nie może

prowadzić samochodu i nie sądzę, aby nowy monarcha, który dopiero co objął władzę, zmienił tę sytuację. Tam wiosna arabska okazała się niewypałem, a w niektórych przypadkach chaos nawet się wzmógł. Tak jest choćby w Jemenie, gdzie od września ubiegłego roku dominuje milicja szyicka, wspierana de facto przez Iran. Pomijam w tym miejscu historyczno-religijną konfrontację sunnicko-szyicką, obiektywnie sprzyjającą destabilizacji sytuacji.

Jednak USA pozostaną obecne w wielu regionach świata. Zatem jest to tylko częściowe wycofanie?
- Amerykanie, mimo zapowiedzi, nie wycofali się całkowicie z Afganistanu, mają tam wciąż ok. 10 tys. żołnierzy (miejscowa armia liczy ok. 350 tys.) i zakładają, że może to nastąpić najwcześniej w końcu 2016 r. W tym kraju, który Karol Marks nazywał „Polską Azji", historycznie wszyscy interwenci zostali pokonani, poczynając od Aleksandra Wielkiego. Anglicy przegrali trzy wojny w końcu XX w., po 9 latach tak stało się też z ZSRR. Ostatnia, wieloletnia interwencja międzynarodowa z udziałem USA (pod szyldem ISAF uczestniczyli w niej także Polacy) również niemal skończyła się fiaskiem. Śmierć Usamy ibn Ladina z rąk komandosów amerykańskich w pakistańskim Abbottabadzie w maju 2011 r. tylko w pewnym stopniu zaowocowała zmniejszeniem siły ataków talibów. Bez porozumień pokojowych z tą formacją stabilizacja nie wydaje się możliwa. Dobrze, że po kilku miesiącach sporów o wynik wyborów prezydenckich przeprowadzonych w ub.r. powstał wreszcie rząd „jedności narodowej", choć ta jedność wciąż może być krucha.

Stany Zjednoczone wyciągnęły lekcje z poprzednich porażek. Początkowo odrzuciły sugestie ataków na tzw. Państwo Islamskie. USA są wciąż osłabione, ale nadal są najsilniejszym państwem świata. Można zapytać gdzie te siły, które chcą USA zastąpić?
- Wycofanie się USA z Iraku w grudniu 2011 r., co było realizacją przedwyborczej obietnicy Baracka Obamy (gdy obejmował władzę było tam 144 tys. żołnierzy amerykańskich) – po bardzo kontrowersyjnej interwencji Georga W. Busha zapoczątkowanej w marcu 2003 r. pozostawiło ten kraj w stanie chaosu. Utrzymuje się niezwykle skomplikowana sytuacja, a odrębną kwestią jest położenie tamtejszych Kurdów.
Od kilku lat trwa ogromny kryzys w Syrii. Próby obalenia Baszara al-Asada, co na początku poparli Amerykanie (później górę wzięła współpraca z Rosją i doszło do realizacji porozumienia ws. likwidacji broni chemicznej w tym państwie) – nie powiodły się. Ekipa tego prezydenta-alawity kontroluje tylko część terytorium Syrii. W wojnie domowej zginęło ponad 200 tys. osób, a kilkumilionowa fala uchodźców rozlała się po całym regionie, zwłaszcza w Turcji i Jordanii.
Ponadto nowym czynnikiem zagrożenia pokoju w strefie Bliskiego Wschodu stała się salaficka organizacja terrorystyczna tzw. Państwo Islamskie (skrót arabski Daisz), powstała jeszcze w okresie interwencji amerykańskiej w Iraku (jako Islamskie Państwo Iraku i Lewantu, ISIL potem ISIS). Przed niecałym rokiem proklamowała ona na części terytorium Iraku i Syrii wielkości połowy Polski, z populacją prawie 10 mln (główne miasta to Rakka i Mosul) – kalifat, z obowiązującym prawem szariatu. Liczbę bojowników szacuje się na ok. 100 tys., przy czym prowadzona jest szeroka akcja rekrutacyjna niemal w całym świecie, szczególnie w Europie Zachodniej. Ponieważ wpływy Daisz wyraźnie się rozszerzają (m.in. na Libię), a stosowane okrutne metody działania paradoksalnie tę strukturę wzmacniają, wydaje się ona obecnie bardziej groźna niż Al Kaida. Powstała więc szeroka koalicja, obejmująca ponad 60 krajów, przeciwko tzw. Państwu Islamskiemu, a niektóre z nich (w tym USA) uczestniczą w akcjach

militarnych, ograniczonych wszak do nalotów lotniczych. Ta sytuacja sprzyja takim aktom terrorystycznym, jak dokonane w tym roku zamachy w Paryżu oraz Kopenhadze.

Jednobiegunowy system międzynarodowy został zakwestionowany. Ale czy widać siły, które chcą przewodzić?

- To zależy, w jakim układzie. Bardzo często mówi się – zwłaszcza u nas – że Rosja chce powrócić do roli supermocarstwa. W skali globalnej liczyły się poprzednio przez kilkadziesiąt lat tylko dwa państwa, które posiadały ogromny potencjał nuklearny. To oznaczało „równowagę strachu" (możliwość dokonania drugiego uderzenia jądrowego). Stąd Rosja nadal jest pod tym względem równorzędnym partnerem dla USA, a ponadto Waszyngton bez wsparcia Moskwy z trudem może się obejść przy stawianiu czoła wyzwaniom płynącym z sytuacji w Syrii, Afganistanie, czy rozwiązywaniu kwestii dostępu Iranu do broni atomowej. Potencjał nuklearny obu mocarstw wciąż przesądza o takiej pozycji, której nie mają inne kraje. On w przeszłości tworzył podstawę równowagi w świecie. Ale obecnie to zbyt mało by się w świecie liczyć.
Za Jelcyna w Rosji miała miejsce swoista „smuta" – okres zastoju (termin ten pochodzi z początku XVII w., gdy na Kremlu przez pewien czas dominowali Polacy). Z tym skończył Władimir Putin. Jego popularność bierze się stąd, że z punktu widzenia społeczeństwa rosyjskiego odwrócił liczne negatywne tendencje. Zdobył Krym, intensywnie umacnia potencjał zbrojeniowy. Rosja ma wydać w tym roku ponad 70 mld USD na armię. Ale pamiętajmy jednak, co to jest wobec 600 mld dol. przeznaczanych na ten cel przez Stany Zjednoczone? Dla porównania Chiny wydają 130 mld dol. USA przeznaczają na obronę więcej niż pozostałe kraje z pierwszej dziesiątki razem wzięte. Duża część tych ogromnych środków idzie na badania naukowe w sektorze militarnym. Ale np. rozwój dronów nastąpił prawie wszędzie, nawet Polska ma własne drony. Jednak faktem jest, że pozycja USA została zakwestionowana.
Terenem konfrontacji może być w przyszłości Arktyka. O bogactwa podmorskie będzie rywalizować tam wiele państw. Rosja chce właśnie rozszerzyć swój region zainteresowań o Arktykę, z jej niezmierzonymi bogactwami naturalnymi. Tam może dojść do większych sporów niż na Morzu Południowo-Chińskim, gdzie m.in. Chiny toczą spór z Japonią o wyspy Senkaku/Diaoyu, w strefie gdzie znajdują się wielkie złoża ropy naftowej i gazu.

Mówi się często, że taką siłą alternatywną mógłby być BRICS, gdzie członkiem jest RPA, a tam ostatnio przebywałeś. Jaka jest faktycznie jego siła?

- BRICS (akronim od Brazylii, Rosji, Indii, Chin i od 4 lat Afryki Południowej), to wciąż luźna struktura, niemająca jeszcze 10 lat. To raczej niektórzy jej członkowie mogą być perspektywiczną alternatywną dla USA. BRICS dotąd nie był zintegrowany, teraz zaczyna się to powoli zmieniać. Choć przyciąga nowych członków, np. Wenezuelę i tworzy się wspólny bank, ugrupowaniu BRICS bardzo daleko do Unii Europejskiej i występuje w jego łonie dużo sprzecznych interesów.
Z punktu widzenia USA zbliżenie Rosji z Chinami wydaje się być narastającym problemem. Chiny są już drugą potęgą ekonomiczną świata. Mają bardzo dobrą sytuację gospodarczą, największe rezerwy walutowe, patrzą globalnie. Rosja i Chiny wydają się w BRICS odgrywać główną rolę. Chiny są też obecnie głównym partnerem gospodarczym krajów afrykańskich, wyprzedzając Stany Zjednoczone. Rosja kontynuuje linię polityki z czasów radzieckich i utrzymuje tradycyjnie dobre stosunki z Indiami (USA z Pakistanem). Szczerze mówiąc trudno jest ocenić realną siłę BRICS. Ważnym jej członkiem jest Brazylia, która ma za sobą wybory prezydenckie i przeżywa trudne chwile. Spadło tempo rozwoju i pojawiły się poważne napięcia

społeczne. Zakwestionowano nawet w ub.r. odbycie Mundialu oraz letnich Igrzysk Olimpijskich w Rio de Janeiro w 2016 r. Wspomniane brazylijskie wybory były powtórką polskich wyborów – jeśli chodzi o zaciętość – z 1995 r., podobne były też proporcje wyników.
Sporą szansę ma Unia Afrykańska, z siedzibą w Addis-Abebie (nowy, imponujący kompleks jej budynków wznieśli i przekazali w darze Chińczycy), w której główną rolę odgrywają RPA oraz Nigeria. W orbicie BRICS znajdują się też inne kraje afrykańskie, takie, jak wspomniana 200-milionowa Nigeria. Poza mającą charakter kontynentalny Unią Afrykańską, na Czarnym Lądzie, o czym się nie tylko w Polsce zapomina, funkcjonują regionalne struktury integracyjne mające m.in., nieźle działające regionalne parlamenty, o czym dwukrotnie miałem przekonać się w ub. r. w Dakarze i Johannesburgu. Jedną z nich jest działający od 1975 r. ECOWAS – Wspólnota Gospodarcza Afryki Zachodniej, na czele z Nigerią, która to organizacja – wzorem Unii Europejskiej stopniowo znosi krajowe paszporty, a wydaje wspólne dla 15 państw członkowskich i ma też w planie przyjęcie wspólnej waluty.
Obraz świata i jego przemian trzeba uzupełnić o kraje ASEAN-u i MERCOSUR. Stowarzyszenie Narodów Azji Południowo-Wschodniej (ASEAN) istniejące od 1967 r., obejmuje 10 państw (w tym Indonezję, Wietnam i Filipiny) z populacją 500 mln, a więc równą Unii Europejskiej. Z kolei południowoamerykański Rynek Południa (MERCOSUR), działający od 1991 r. łączy Argentynę, Brazylię, Urugwaj i Paragwaj; od 2012 r. także Wenezuelę, a na ratyfikację umowy członkowskiej czeka Boliwia. Ta organizacja gospodarcza rozwija się ostatnio ze sporymi trudnościami. Wenezuela żyjąca z eksportu ropy naftowej w warunkach radykalnego spadku jej ceny (w 2008 r. wynosiła ona 145 dol. za baryłkę, zaś obecnie 50-60 dol.) przeżywa wielki kryzys ekonomiczny i znajduje się na krawędzi kryzysu społeczno-ekonomicznego i politycznego. Podobnie Argentyna, choć z nieco innych powodów. Ten kraj, który w połowie 2014 r. zaprzestał obsługiwania swoich zobowiązań, nie pierwszy raz w swej historii ogłosił bankructwo, zaś wrzenie polityczne w Buenos Aires dorównuje temu z Caracas. Mimo to rozmaite tendencje integracyjne i w tym przypadku stanowią próbę odpowiedzi na wyzwania światowe, na zagrożenie chaosem i dezintegrację. To w sumie stwarza pewne perspektywy rozwojowe wielu państwom.

Rosja ma kolosalne aspiracje, ale czy ma możliwości ich urzeczywistnienia. Jaka jest ocena pozycji Rosji w świecie?

- W Rosji nastąpił ogromny wzrost fali nacjonalizmu wielkorosyjskiego. Napędza on politykę wewnętrzną i zagraniczną. Argumenty władz na Kremlu w uproszczeniu są następujące: jesteśmy otaczani przez Zachód, zwłaszcza przez NATO, zagrożeni militarnie, w niektórych miejscach atakowani przez radykalne siły islamskie, istnieje groźba kolejnej „kolorowej” rewolucji. Musimy się więc bronić i nie zapominać też o losach mniejszości rosyjskiej na obszarze byłego Związku Radzieckiego.
Mamy z jednej strony rozbudzony nacjonalizm rosyjski, z drugiej strony ukraiński. One wzajemnie się napędzają. Dobrze, że Swoboda i Prawy Sektor nie weszły w październiku ub. r. do Rady Najwyższej z puli partii politycznych (nie przekroczyły progu 5 proc.), ale przecież wprowadziły swoich przedstawicieli do parlamentu w okręgach jednomandatowych.
Niektórzy teoretycy rosyjscy mówią wręcz: faktycznym celem procesów zapoczątkowanych przed rokiem – w lutym 2014 r. na kijowskim Majdanie było zastąpienie floty rosyjskiej przez US Navy na Morzu Czarnym, łącznie z przejęciem Sewastopola, co stwarzałoby nową jakość geopolityczną w skali świata. Większość obywateli, a zwłaszcza sił politycznych w Rosji podziela ten punkt widzenia i wykazuje zrozumienie nawet dla działań militarnych, mających

zapewnić ochronę swej strefy wpływów. Władze na Kremlu prowadzą też od dawna skomplikowaną grę w różnych krajach, dawniej wchodzących w skład ZSRR, doprowadzając bezpośrednio (np. w Naddniestrzu, Abchazji czy Południowej Osetii) lub pośrednio (np. w Górskim Karabachu) do tworzenia „para-państw". Niewykluczone, iż taki był też zamiar wspierania działalności separatystów w Obwodach Ługańskim i Donieckim na Ukrainie. Tego rodzaju struktury oznaczają istnienie „zamrożonych" konfliktów, które nieuchronnie od czasu do czasu się „odmrażają".
Rosja uznała wynik ukraińskich wyborów parlamentarnych z 26 października 2014 r. (sam obserwowałem je z ramienia Rady Europy w Kijowie i Odessie), podobnie jak wcześniejszych prezydenckich w maju ub.r., ale niezmiennie obawia się, że długotrwały proces przemian na Ukrainie doprowadzi do zyskania wyraźnej przewagi przez zwolenników procesu zbliżenia z Zachodem. I wciąż usiłuje temu zapobiec. To główna oś sporu, a na to nakłada się jeszcze dramatyczna sytuacja ludności cywilnej na Ukrainie (niemieckie dane mówiące o 50 tys. zabitych wydają się wiarygodne), ogromne zniszczenia, w tym infrastruktury i gospodarki, kilka milionów uchodźców oraz tzw. wewnętrznych przesiedleńców, a ponadto niezwykle ciężka sytuacja ekonomiczna kraju. Nie wiadomo, kiedy i jak zakończy się konfrontacja ukraińsko-rosyjska. Ważne, by było to rozwiązanie polityczne, pokojowe, oparte na 13 punktowym porozumieniu Mińsk 2 z 12 lutego b.r. Dziś jednak nie można wykluczyć sytuacji bardzo długiego konfliktu.

Bo Ukraina to oddzielny problem …
- Chodzi o drugie co do wielkości państwo Europy, z jedną z największych populacji, stąd wojna tocząca się na terytorium sąsiada Polski (którego niepodległość jako pierwsze państwo świata uznaliśmy jesienią 1991 r.) stanowi bodaj najpoważniejsze zagrożenie dla pokoju na naszym kontynencie od 1945 r. Obserwując te ostatnie wybory demokratyczne na Ukrainie, zastanawiałem się, jaki kierunek rozwoju zostanie ostatecznie przyjęty? Przewagę zyskała opcja proeuropejska, ale uzyskała ona niewiele ponad 50 procent. Najniższa frekwencja była przy tym na wschodzie kraju i w okręgu odeskim, a bardzo wysoka w części zachodniej gdzie są silne tendencje nacjonalistyczne.
Od tego czasu z jednej strony sporo się zmieniło, ale z drugiej niekoniecznie. Proces reform wewnętrznych, o które wyjątkowo trudno w warunkach bojowych, postępuje nader wolno. De facto nie zaszły one od czasu odzyskania niepodległości, także w okresie po tzw. Pomarańczowej Rewolucji z 2004 r. Korupcja występuje na niezwykle wysokim poziomie, jest wyższa niż w Rosji. Utrzymuje się w dużym stopniu swoista demokracja oligarchiczna, przy czym niekiedy jedni oligarchowie zastąpili drugich oraz nastąpiło znaczące przegrupowanie w tym gronie. Są tacy, którzy się nie zmienili np. Ihor Kołomyjski z dominującą pozycją w regionie Dniepropietrowska. Ale wielu ludzi politycznie swoiście się „przemalowało". Pamiętajmy też, iż sam prezydent Petro Poroszenko (nazywany kiedyś „królem czekolady") był jeszcze w 2009 r. ministrem rozwoju gospodarczego i handlu a w ekipie Wiktora Janukowycza jako głowy państwa był szefem dyplomacji, zaś premier Arsenij Jaceniuk sprawował wcześniej liczne funkcje ministerialne oraz stał na czele parlamentu.
W nowej Radzie Najwyższej przeforsowano m.in. ustawę lustracyjną wymierzoną w osoby pełniące funkcje administracyjne w okresie rządów Janukowycza z lat 2010–2014. Przyjęto ją po trzech próbach, a deputowani nie znali dokładnie treści. Może ona objąć od pół do półtora miliona ludzi. Wątpliwości w tej mierze wyrażała Komisja Wenecka Rady Europy. Poroszenko uznał też 14 października – jakby to powiedzieli Rosjanie – za „banderowskie święto". Dzisiaj

oczekiwania społeczeństwa są o wiele razy mniejsze niż 10 lat temu. W gospodarce trwa zastój, a ponadto w 70 procentach znajduje się ona w rękach oligarchów. W łonie obecnej ekipy kierowniczej w Kijowie nie brakuje znaczących różnic. Jej część (skupiona później w Bloku Poroszenko) od początku uważała, że tylko droga pokojowa może przynieść pozytywne rozwiązanie konfliktu, stąd później opowiadała się za porozumieniami z Mińska. Natomiast Arsenij Jaceniuk i Oleksandr Turczynow (były przewodniczący Rady Najwyższej i p.o. prezydenta, aktualnie sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony), którzy przed październikowymi wyborami stworzyli Blok Ludowy, preferowali drogę zbrojną. Podobnie formacja Julii Tymoszenko i Partia Radykalna Oleha Laszko. Do parlamentu weszło zresztą wielu dowódców wojskowych. Kandydowali też m.in. dziennikarze śledczy. Obecny skład Rady Najwyższej jest politycznie „wielokolorowy" i mogą wystąpić trudności, aby osiągnąć większość 2/3, niezbędną do zmiany konstytucję. 27 deputowanych przy tym nie wybrano (12 z Krymu i 15 ze wschodniej Ukrainy). Tak więc nie są wykluczone znaczące podziały również w ekipie rządowej.
Prezydent Poroszenko zapowiedział, że za 5 lat Ukraina będzie spełniać kryteria unijne. Ale jej wejście do Unii Europejskiej, nie mówiąc o NATO, wydaje się na razie tylko marzeniem, z wielu względów. Zdecydowanie bardziej realne jest już członkostwo Turcji w Unii. Trzeba jasno powiedzieć, że wyeliminowanie możliwości ukraińskiej przynależności w Sojuszu Północnoatlantyckim, a także w Unii Europejskiej, stanowiło od początku cel strategiczny rosyjskiej interwencji.

Chiny stoją nieco na uboczu. Ale ich pozycja nieustannie wzrasta. Chyba jest to dostrzegane w świecie?
- Chiny bardzo się umocniły. Najdalej za kilkanaście lat będą gospodarką nr 1 w skali globalnej. Wspominałem już, że są uprzywilejowanym partnerem ponad 50 krajów afrykańskich. Wysłały nawet w swoim czasie dużą ekipę lekarzy do walki z ebolą w Afryce Zachodniej. Bez uwzględnienia roli ChRL trudno mówić o przyszłości świata.
Obecny globalny układ sił rysuje się następująco: USA nadal są najsilniejszym graczem, choć ich pozycja nieco osłabła, Chiny, Unia Europejska, Rosja (szczególnie militarnie), Japonia i Indie. Dalej mamy regionalne mocarstwa: Brazylię, Turcję, Pakistan, Iran, RPA. Poza nimi jest też kilka liczących się państw o ludności od mniej więcej 100 do 250 milionów. Do takich krajów należą zarówno Indonezja jak i Egipt, a także Nigeria.

Prawie 11 lat temu Polska wstąpiła do Unii Europejskiej. Czy lewica ma swoją wizję pozycji Polski w Unii?
- Zarówno polska jak europejska lewica nie do końca ma jasną wizję Unii Europejskiej. Szczerze mówiąc to odnosi się także do innych, głównych formacji politycznych na naszym kontynencie Trwają generalne spory, czym ma ona być w sensie zaawansowania procesu integracji itd. Czy unią regionów – jest ich aż 353? Na pewno UE nie powinna być głównie rodzajem „bankomatu", nawet jeśli ważne jest stopniowe wyrównywanie poziomu rozwoju oraz zmniejszanie nierówności społecznych. Pozostają przecież cele polityczne i ogólnoludzkie. Pod względem finansowo- gospodarczym sporo może wyjaśnić realizacja Planu Junckera. W obecnej perspektywie budżetowej 2014-20 po raz ostatni Polska otrzyma znaczące środki unijne, toteż wyjątkowo ważne staje się ich należyte wykorzystanie. Dotąd nie mamy rozwiązanego problemu przystąpienia do strefy euro. Dziś nie spełniamy wciąż wszystkich kryteriów z Maastricht, ale byłoby dobrze przyjąć euro do 2020 r., Potrzebna jest poważna

debata na ten temat. Większość obywateli jest teraz wciąż temu przeciwna, ale sytuacja powoli będzie się zmieniać. Pamiętajmy też, iż musi być zmieniona Konstytucja (art. 227), co wymaga sejmowej większości 2/3. O wielu kwestiach powinniśmy intensywniej rozmawiać w łonie Partii Europejskich Socjalistów.

NATO stoi przed nowymi wyzwaniami. Jakie są opcje Sojuszu wobec tych problemów?
- Istnieje wiele wyzwań, które trzeba podjąć. Ale dostrzegalny jest też wzrastający w niektórych krajach czy kręgach politycznych pewien sceptycyzm wobec NATO w komplikującej się sytuacji międzynarodowej. Zrodziło się m.in. pytanie, czy Europa Środkowa nie pozostaje obszarem bezpieczeństwa drugiej kategorii? Na szczycie Sojuszu w walijskim Newport we wrześniu 2014 r. podjęto decyzję o utworzeniu Połączonych Sił Bardzo Szybkiego Reagowania, zwanych potocznie „szpicą", Wejdą one (w sile ok. 5 tys.) w skład już istniejących tzw. Sił Odpowiedzi NATO, których liczebność zwiększono do 30 tys. żołnierzy. Ta szpica (która będzie gotowa w 2016 r.) ma mieć kształt jednej wielozadaniowej brygady wojsk lądowych, wspieranych przez wydzielone jednostki lotnicze, morskie i specjalne. Będą w niej uczestniczyły wszystkie państwa Sojuszu, ale wskazano sześć państw tzw. ramowych, w tym Polska (pozostałe to Francja, Hiszpania, Niemcy Wielka Brytania i Włochy). Mają też być utworzone dwa dowództwa koordynujące Sojuszu w jego wschodniej części. Dla Polski i państw bałtyckich ma ono powstać na bazie Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego istniejącego od 1999 r. w Szczecinie, składającego się z formacji stacjonujących na terenie Danii, Niemiec i Polski. Potwierdzono ponadto stałą, choć rotacyjną obecność wojsk NATO w Polsce i innych krajach wschodnioeuropejskich.
Rosyjskie zbrojenia ,a zwłaszcza konkretna interwencyjna polityka m.in. wobec Ukrainy, spowodowały, że polskie władze chcą zwiększyć wydatki na obronę do 2,0 proc. PKB. To propozycja o tyle dyskusyjna, iż dotąd nie zawsze wykorzystywaliśmy wcześniej ustalonego pułapu tych nakładów w wysokości 1,95 proc. i niedostatecznie przeznaczano te kwoty dla polskiego przemysłu zbrojeniowego. Ponadto pamiętajmy, że z pewnością wymagają podniesienia wydatki na naukę, badania i rozwój, bo mamy je najniższe w skali całej Unii Europejskiej. Wreszcie, jeśli ustalać minimalne nakłady budżetowe, to warto to uczynić właśnie także w odniesieniu do nauki, czy służby zdrowia. I na koniec – niewielu członków NATO ma obecnie wydatki na obronę w wysokości 2 proc., a Niemcy jedynie na poziomie 1,3 procent.

Sytuacja naszych wschodnich sąsiadów może niepokoić. Zwłaszcza polityka Rosji…
- Warto pamiętać, że mamy bezpośrednią granicę (210 km) z Federacją Rosyjską, konkretnie z Obwodem Kaliningradzkim. Od prawie 3 lat wiąże nas przy tym specjalna umowa o małym ruchu granicznym między Polską a Rosją. Obejmuje ona z jednej strony cały ten Obwód, zaś z drugiej 11 powiatów Warmii i Mazur oraz 7 pomorskich (w tym Trójmiasto). Samorządy polskie chciałyby jej geograficznego rozszerzenia, bo to jest rozwiązanie bardzo korzystne dla mieszkańców.
Polityka Federacji Rosyjskiej musi budzić obecnie określone obawy. Niewątpliwie to państwo złamało prawo dokonując aneksji Krymu i naruszając integralność terytorialną Ukrainy, więc ocena tego musi być jednoznaczna. Jednak nie przypuszczam, aby władze na Kremlu podjęły jakiekolwiek kroki militarne przeciwko któremuś z członków Unii Europejskiej czy NATO, co groziłoby nieprzewidywalnymi skutkami. Ale nawet ograniczanie się Rosji do prób zwiększenia swych wpływów w ramach Wspólnoty Niepodległych Państw (nie wchodzą w jej skład 3 państwa bałtyckie i Gruzja) może także prowadzić do poważnych napięć międzynarodowych.

Polska powinna zaoferować Ukrainie konkretną pomoc w procesie niezbędnych reform, m.in. poprzez szkolenie nad Wisłą niezbędnej kadry, np. samorządowej. Również wspierać inicjatywy rozwiązań pokojowych, politycznych i nie podważać sensowności trudnych porozumień z Mińska, co się niestety zdarzało w przypadku kilku przedstawicieli rządu. m.in. naszego ministra obrony. Nie uważam natomiast za celowe dostarczanie na Ukrainę uzbrojenia.
Polska polityka wschodnia wymaga większej koordynacji z sojusznikami i nie występowania w roli „jastrzębia" unijnej czy natowskiej polityki wobec Rosji. Ten błąd został już popełniony i m.in. spora część naszych prawicowych polityków podgrzewała atmosferę Majdanu. Także z tego względu Polska, a konkretnie przedsiębiorcy i rolnicy, stali się pierwszymi i bodaj głównymi ofiarami rosyjskich sankcji. W 2014 r. nasz eksport do Rosji spadł o 14 proc. a na Ukrainę aż o 27 proc. Potrzebne jest mimo wszystko utrzymywanie możliwości dialogu ze stroną rosyjską, który został radykalnie ograniczony. Błędem z naszej strony stało się ostatnio upolitycznianie historii w kontekście dramatycznego konfliktu na Ukrainie, zamiast skupiania się na aspektach prawno-międzynarodowych. Apogeum tego podejścia były kuriozalne słowa ministra Grzegorza Schetyny o tym, iż to Ukraińcy wyzwolili obóz w Auschwitz. Pomijam w tym miejscu sprawę relacji polsko-ukraińskich w ujęciu historycznym, choć podzielam opinię prof. Bronisława Łagowskiego, iż wielu Polaków bywa „zaślepionych antyrosyjskim aspektem tradycji UPA i uważa, że skoro jest ona antyrosyjska, to jest jak najbardziej godna pochwały albo przynajmniej pobłażliwości".

* * *

Na tytułowe pytanie: czy żyjemy w czasach chaosu można odpowiedzieć zarówno „tak", jak i „nie", przytaczając w każdym przypadku liczne dowody oraz przykłady, w tym wskazane przeze mnie. Choćby liczne procesy integracyjne w różnych częściach globu sprzyjają tendencjom stabilizacyjnym, a z kolei rosnące nierówności społeczne, bieda, toczące się wojny czy wybuchające na nowo konflikty, przeciwnie. Nowym zagrożeniem w sensie skali oraz nowych metod działania staje się terroryzm, w tym mający autentyczne lub przydawane podłoże religijne. W tej sytuacji szczególnego znaczenia, zamiast analizowanego świetnie przez Samuela Huntingtona „zderzenia cywilizacji", nabiera imperatyw „dialogu cywilizacji". Przecież już rok 2001 był przez ONZ ogłoszony „Rokiem Dialogu Cywilizacji". Ówczesny prezydent Iranu Mohammad Chatami akcentował wprost, że tylko ta droga może wieść ku harmonii w światowej polityce, a zapobiegać zarazem anarchii i chaosowi.
Wybitny pisarz brytyjski Terry Pratchett, mistrz gatunku fantasy i science fiction w swej książce „Ciekawe czasy" ocenił, iż: „Chaos zawsze pokonuje porządek, gdyż jest lepiej zorganizowany". Na szczęście zjawisko to nie wydaje się być nieuchronne.

Dziękuję za rozmowę
Rozmawiał ***Lech Kańtoch***